

100 lat Deklaracji Balfoura

2 listopada 2017

Mija sto lat od słynnej Deklaracji Balfoura. Jak ją oceniać?



Biurko, na którym Lord Arthur Balfour podpisał deklarację Balfoura,

w zbiorach Muzeum Diaspory w Tel Awiwie.

W połowie 1917 roku, w czasie pierwszej wojny światowej, Chaim Weizmann czekał w przedpokoju w Londynie. Brytyjski gabinet wojenny głosował właśnie nad dokumentem, znanym dziś pod nazwą Deklaracji Balfoura, która przyrzekała poparcie Wielkiej Brytanii dla syjonistycznych nadziei na państwowość w Palestynie, jeszcze wtedy pod rządami osmańskiej Turcji. Mark Sykes, brytyjski dyplomata, wyszedł z sali, aby podzielić się dobrą nowiną. Zrobił to tak, jak żydowskie akuszerki, kiedy wychodzą w tym celu do czekających ojców: „Wajcman, masz syna!”. Jednakże licząca 67 słów deklaracja wcale nie była jasna. Proponowała Żydom „ojczyznę”, a nie państwo. Nie wyjaśniała też, jak to będzie możliwe, obiecując tylko „najlepsze wysiłki” w tym celu. Pierwszą reakcją Weizmanna, przywódcy syjonistów, było więc rozczarowanie. „Ten syn nie był tym, którego się spodziewałem” – napisał później.

Dziś, sto lat później jego następcy nie mają już takich

wątpliwości. 2 listopada Benjamin Netanjahu, premier Izraela, weźmie udział w uroczystym obiedzie w Londynie, aby uczcić stulecie dokumentu. Dołączy do niego brytyjska premier Theresa May. Obecny będzie także lord Balfour, potomek angielskiego arystokraty, który użył nazwiska temu dokumentowi. W Jerozolimie odbędzie się specjalna sesja izraelskiego Knesetu a British Museum obiecało wypożyczyć Izraelowi oryginał dokumentu, który ma być wystawiony na widok publiczny.

A jednak Weizmann miał powody, aby być sceptycznym. Pograżona w wojnie Wielka Brytania wcale nie była pewna, jak poradzi sobie z Palestyną. Są dowody na to, że niektórzy z angielskich urzędników obiecywali ojczyznę Żydom po części dlatego, że chcieli w ten sposób sprowokować antysemickie nastroje, licząc na to iż Żydzi mający wielkie wpływy w Ameryce, popchną ją do wojny. Poza tym brytyjscy dyplomaci, jak zwykle wrednie, składali sprzeczne obietnice szeryfowi Mekki (tj. muzułmańskiemu opiekunowi świętego miasta) i Francuzom, którzy mieli protektorat nad Syrią i Libanem.

Weizmann wierzył, że poparcie ówczesnych światowych mocarstw, a zwłaszcza Wielkiej Brytanii, wystarczy, żeby w Palestynie utworzyć żydowską siedzibę narodową. W tym czasie Żydzi stanowili tam mniej niż 10% ludności. Brakowało im zasobów i sił, aby założyć państwo. Krótco potem zresztą Wielka Brytania zaczęła przeszkadzać w „projekcie syjonistycznym”. Aby ugłaskać arabską rewoltę, w 1939 roku opublikowała ona tzw. białą księgę, w której ograniczała żydowską imigrację do Palestyny i stwierdzała „jednoznacznie”, że ziemia ta nie powinna stać się państwem żydowskim.

Do tego czasu jednak wspólnota żydowska już się zorganizowała, energicznie tworząc bojówki własnej milicji, parlament i zawiązek rządu. Kiedy w 1947 r. ONZ głosowała o podziale Palestyny, Żydzi mocą faktów dokonanych już mieli praktycznie zainstalowane tam podstawy swego państwa. „Nie jest ważne to, co mówią goje, tylko to, co robią Żydzi” głosił David Ben-Gurion, pierwszy premier.

Postawa ta jest nadal żywotna. Rosnąca ciągle w siłę prawica izraelska żąda budowania nowych osiedli na terenach zajętych zbrojnie przez Izrael w 1967 r. Żąda ograniczania działalności lewicowych organizacji pozarządowych oraz takich instytucji „liberalnych”, jak sądy i media. Twierdzi, że nie zależy jej na światowej opinii publicznej, której zresztą większość świata wcale w tej sprawie nie ma. Większość tej opinii postrzega sprawę palestyńską i stosunki żydowsko-arabskie przez pryzmat swych własnych, zwłaszcza najświeższych doświadczeń z islamem i islamskim terroryzmem lub zadawnionych konfliktów ze światem muzułmańskim. Nowo powstające sojusze Izraela w Afryce i Ameryce Łacińskiej ignorują temat palestyński i eksploatują tętniący życiem sektor zaawansowanych technologii oraz użyteczną współpracę wojskową. W lipcu miała miejsce pierwsza wizyta premiera Indii Narendry Modiego w Jerozolimie. Palestyna nie ma też wielu sojuszników w świecie arabskim. Choć oficjalnie uznały Izrael tylko Egipt i Jordania, to inne państwa arabskie, zwłaszcza monarchie znad Zatoki Perskiej, mają dziś ciche sojusze ze swoim jeszcze niedawno deklarowanym wrogiem.

Wszelako wbrew maksymie Ben-Guriona obchody w Londynie i Jerozolimie będą jednak przypominać, że Izrael nadal pragnie moralnej afirmacji. Sto lat temu Lord Balfour postrzegał Izrael w kategoriach emocjonalnych jako państwo należne Żydom z powodu ich „wielowiekowych tradycji i obecnych potrzeb”. Ten sentyment na Zachodzie ciągle jest bardzo silny.

Palestyńczycy ze swej strony uważają Deklarację Balfoura za pierwszą z wielu cynicznych zdrad ze strony zachodniego świata. W zeszłym roku prezydent Palestyny Mahmoud Abbas zagroził, że poda Wielką Brytanię do sądu jeśli nie uzna ona Palestyny jako państwa i nie przeprosi za Deklarację Balfoura. Przez większość ostatnich kilkunastu lat stara się on zdobyć międzynarodowe uznanie dla państwa arabskiego w Palestynie. W pewnym sensie stał się właściwie paradoksalnym naśladowcą zabiegów Chaima Weizmanna, tyle że „a rebours”. W efekcie

Palestyna uzyskała status obserwatora w ONZ w 2012 roku i większość państw na świecie uznaje ją za państwo. Nie jest jednak wcale bliższa prawdziwej niepodległości niż w 1967 r.

Skorumpowany i sklerotyczny gabinet Abbasa przez większość ostatniej dekady wadził się bardziej ze swymi ludźmi niż z Izraelem. Być może bowiem Deklaracja Balfoura zawiera również lekcję dla Palestyńczyków: ani Wielka Brytania nie stworzyła Izraela – ani też żadne inne obce mocarstwo nie stworzy państwa palestyńskiego. Być może jest i druga lekcja płynąca ze słów Ben Guriona: „Nieważne, co mówią inni – ważne co robią sami Palestyńczycy”. Bo w ostatecznym rachunku każdy naród ma tylko takie państwo, na jakie sam zasługuje i jakie sam sobie wywalczy, a wszelka jego siła musi pochodzić z wewnątrz.

Autorstwo: Bogusław Jeznach

Zdjęcie: [Ziko](#) (CC BY-SA 3.0)

Źródło: NEon24.pl